

Przez portret dziadka

GOME

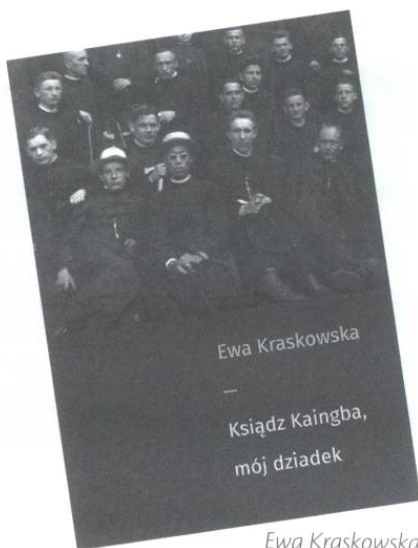
Paulina Subocz-Białek

Philippe Lejeune w Pakcie autobiograficznym ustalił kilka kategorii elementów, które muszą zostać spełnione przez autora tekstu, aby jego dzieło stało się tzw. retrospektywną opowieścią pisaną prozą, a przedstawiającą losy jednostki, ze szczególnym uwzględnieniem historii osobowości. Dlaczego przy okazji omówienia książki Ewy Kraskowskiej ten Lejeune'owski kontekst? Otóż Książd Kaingba, mój dziadek to przykład literatury biograficznej szczególnie.

Zrazu czytelnik jest przekonany, że ma oto przed sobą intrygującą opowieść-biografię o niepokornym księdzu katolickim – tytułowym Józefie Kaingbie pochodzącym z Dalekiego Wschodu, który przywieziony przez rosyjskiego żołnierza po przegranej bitwie pod Mukdenem (kontekst wojny rosyjsko-japońskiej z 1905 roku) trafił do Kamieńca Podolskiego. Po chwili jednak czytelnik spostrzega, że tocząca się właśnie opowieść o dziadku (ale też i o babci – Helenie Kraskowskiej; a może w ogóle to opowieść o relacjach?) wcale nie chce być tylko biograficznym zarysem. To zatem opowieść chyba przede wszystkim o samym sobie, a więc swego rodzaju autobiografia korzeni. Nie jest jednak książka Ewy Kraskowskiej ani biografią *par excellence*, ani autobiografią. A jednocześnie jest i jednym, i drugim. Chciało by się rzec: można i tak...

Taka opowieść „na poły”, z pogranicza gatunku może zaintrygować także wielbicieli prozy wspomnieniowej. Rzetelna kwerenda dokumentów, a także rozproszona epistolografia, skrupulatnie cytowanej w głównym zrębie narracji, wskazuje na świadome konstruowanie takiej, a nie innej formy. Poza tym arcyciekawe są te fragmenty książki – i tu zainteresowani portretami etnograficznymi będą mieli nie lada gratkę – które rysują wizję losów jednej postaci, wpisując ją w szerszy kontekst historyczny, kulturowy, a nawet geopolityczny, sytuując je na tle chociażby tak bogatej w mitotwórczy aspekt Huculszczyzny. Obok pejzażu kresowej Bukowiny w książce Kraskowskiej znalazły się nawet i opisy struktury, misji oraz funkcjonowania słynnego Zgromadzenia Misjonarzy św. Wincentego à Paulo, do którego trafił ks. Józef Kaingba.

Choć głównym bohaterem tej opowieści jest jeden człowiek, to przez jego losy prześwituje jak gdyby tożsamość autorki. W tym sensie po Lejeune'owsku byłby narrator Kraskowskiej tożsamy z autorem tekstu, a perypetie tytułowego ks. Kaingby byłyby równocześnie wnikliwie rekonstruowaną „historią osobowości”. I właśnie – nie tylko dziadka, ale i jego wnuczki. Historia taka byłaby jednak, gdyby nie kilka pomysłów – skądinąd bardzo udatnych – jedynie „sensacyjną opowieścią o kolejnym księdzu, który łamał celibat”. A taką nie jest! Oprócz interesującej formuły czy nawet literackiej gry z konwencją biografii, o czym była już mowa, jest jeszcze jedno celne i konsekwentnie realizowane rozwiązanie. I to ono ostatecznie świadczy o wartości tej publikacji. Rzecz sprowadza się do dystansu i poczucia humoru cechujących postawę „opowiadacza” Kraskowskiej. Wcale nie jest tak, jak twierdzą wydawcy (albo wydawca) opatrujący komentarzem tył okładki (zresztą jak zwykle w tej oficynie pięknie zaprojektowanej, wraz z wysoką starannością edycji wnętrza książki). Ów lapidarny opis twierdzi, jakoby samo przedstawianie wydarzeń, przywoływanie wspomnień „własnych i cudzych, wskazywanie białych plam i snucie domysłów na temat przeszłości swojej nietypowej rodziny” miały przesądzać o szczególności dzieła. Moim zdaniem, co innego jest tu wyznacznikiem potencjalnej zachęty do lektury. Właśnie konsekwentnie niekonsekwentne budowanie relacji gatunkowej między biografizmem (liczne fotografie, opisy, chronologicznie uporządkowana faktografia życiorysu Józefa Kaingby) a autobiografizmem (bardzo wiele jest własnych wrażeń, refleksji, domysłów) oraz częste – ujmijmy to w stylu autorki – mrugnięcia okiem skierowane do odbiorcy. Spójrzmy na dwa takie momenty, które ponadto scalają całość zgrabną – i jakżeby inaczej – humorystyczną klamrą: „»Pamiętaj moje dziecko, że w naszych żyłach płynie wschodnia krew« – to zdanie wygłosił do mnie ojciec, gdy pod koniec września 1972 roku jako osiemnastolatka opuszczałam walbrzyski dom rodziców i wyjeżdżałam na studia polonistyczne do Poznania. Nie wiem dokładnie, co chciał mi przez to powiedzieć, pewnie w tak osobliwy sposób pouczał mnie, bym dobrze się prowadziła”.



Ewa Kraskowska
Książd Kaingba, mój dziadek
Gdańsk: „słowo/obraz terytoria”, 2021
278 s.: il.; 22 cm

NK 7-8 2022 111

Oraz „Zakończę więc tak: pani Ewa ma syna, byłego ucznia szkoły podstawowej w Morawinie, obecnie liczącego sobie lat ponad trzydzieści i, jak się zdaje, zanego oraz pracowitego. (...) Jeśli jest on wnukiem mojego dziadka - a więc moim bliskim krewnym - to azjatyckie geny z Mandżurii wciąż mają szansę”.

Zaintrygować „lekkim tonem”, opowiadając o sprawach - by tak rzec - poważnych (ileż to mamy na rynku publikacji o odkrywanych wciąż obyczajowych skandalach także wśród duchowieństwa), przy tym być emocjonalnie zaangażowanym w tę sprawę - to dziś prawdziwa sztuka! Ale jest w tym ironiczno-nostalgicznym tonie chyba jakaś głębsza idea, i to może właśnie jest w książce Kraskowskiej najciekawsze. Przejść się przez labirynty domysłów, niedopowiedzeń rodzinnej historii i stanąć w jej prawdzie (choć jak autorka sama twierdzi - prawdzie, której nie będzie się pewnym do końca) to jedno. Drugie, co udało się osiągnąć - znaleźć w tej prawdzie rzecz uniwersalną: czynnik ludzki, osobowy (tak!). Tak, by w prywatnej historii jednej postaci, jednej rodziny zawrzeć opowieść o tym, co przecież nadrzędne i co dotyczy każdego, tego, co stoi nad wszystkim, a nie ocenia, rozumie (niech wnikliwy czytelnik trawestację znanego tekstu sam odpozna).

I właśnie pod tym błyskiem w oku uśmiechniętego, „czułego narratora” kryje się prawdziwy pożytek z lektury niebiografii ks. Kaingby - bardzo lubianego i cenionego katolickiego duchownego, pochodzącego z dalekiej Mandżurii, który jako paroletni chłopiec dotarł do Mohylewa nad Dniestrem, by przywieźć do Polski „wschodnią krew”. ◉